

SZCZUTEK

TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys. Z. Czernański.



Nieporozumienie angielsko-bolszewickie, czyli jak to czasem i małpa potrafi opluć
lwa bezkarnie.



BOMBIADA.

Przez trafunek lub przypadek
Ma Warszawa swą sensację:
Co dnia bomba na obiadek,
Co dzień drugi na kolację.

Sprawca sprytnie się wymyka
I policję ciągle zwodzi.
Raz uderza w katolika,
Drugi raz na żyda godzi.

A więc w prasie wre harmider,
Cała pęka od sensacji.
Partja partji wkręca świder
Przewin i insynuacji.

Każdy szukać chce odwetu,
Nienawiścią ziejąc błądą.
Nawet zmiana gabinetu
W cień się skryła przed bombiadą.

A policja bez wytchnienia
Wietrzy, szpera, szuka wszędzie.
Koniec jest do przewidzenia:
Z śledztwa pewnie guzik będzie.

Redaktorzy! hej na biesa
Co za obłęd was rozpiera?
Co jest bombą dla „Ekspressa“
Jest petardą dla „Kurjera“?

To jest bomba prawicowa!
Rosnerowski brzmi koncercik.
To jest bomba lewicowa!
Odkrzykuje wnet Neuwercik.

W „Robotniku“ pisze cybuch,
Który się przy partji szasta,
Że perditu jeden wybuch
Może zburzyć i pół miasta.

Ten sam perdit dla „Porannej“
Jest zabawką dla młodzieży —
Tak to w kłótni bezustannej
Każdy swe walory szerzy.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

HOMUNCULUS.

(Wiosenna opowieść z XVI. w.)

Ciepła, wilgotna noc wiosenna, bezksiężycowa, schowała w granatową oponczę i uspiła gród, uznojony pracą i modlitwą.

Ani jedno światelko nigdzie już nie błysło, a chyba szmer Wisły przetykał sennym pluskotem głuchą ciszę.

Raz odezwał się wrzaskliwy głos Węgrzyna z wojsk królewskich cudzoziemskiego autoramentu, który upity pod wiechą wykrzykiwał, jakby stepu wołał, później zabrzęczały luteńki żaków, wydzwaniające do wtóru starej a wiecznie młodej śpiewki Horacjusza do Lidji, a potem wszystko umilkło.

I wszędzie było ciemno.

Jeno na zamku w górnym okienku świeciło się. Żółty kwadrat blasku w pomroku nocy wiosennej, ciepłej nad podziw, a wilgotnej.

Świeciło się w komnacie Mistrza. Blask kaganka uwydatniał ostre, zbolale rysy astrologa i długie, szponiste ręce. Jedną ręką mistrz wodził po jakichś starych pergaminach, drugą okazywał słoiczek z mętną cieczą.

Naprzeciw siedział wpatrzony w ruchy astrologa, wsłuchany w słowa łacińskie — sam Król Jegomość.

— Oto ci, najjaśniejszy panie, na nowiu miesiąca, gdy Merkurjusz jest w domu Orjona okazać mogę pierwszą kwadrę Homunculusa, wzywając Astarot, Bafometa i Cyprydę, jednych w trojgu, trojakich w jedności.

Król patrzył w zakisłe szkło słoika, przecierał oczy, czy w zawiesinach płynu dojrzy kielkującego Homunculusa, poczętego w wezwaniu Trismegistosa.

— Drugą kwadrę ujrzyysz królu najmiłościwszy, skoro tylko Aldebaran stanie w konjunkcji z Saturnusem. A dla odżywienia mdlejącej substancji Homunculusa trzeba proszku z rogu Jednorożca, aby krzepkość zawiązała się w kościach jego i forma przyoblała się w istność...

— Skąd wziąć róg Jednorożca? — zafrasował się król Jegomość.

— Ormianin pewien znajomy mój z Orjentu sprowadzi, trzeba jeno do Lwowa wysłać umyślnego...

— Juści, we Lwowie za pieniądź wszystko przedają, rzekł król i rzucił astrologowi kieszkę z dukatami, którą Mistrz skwapliwie porwał.

Król wyszedł na ganek, biegnący

pod dachem zamku. Z poręczy zerwało się pacholę przylepione twarzą do kraty w murze i chwyciło ręczny kaganek, by poświecić panu.

— Trzeba iść spać, Stańku!

Po pewnym czasie znowu odwiedził król astrologa i znowu usłyszał, że czegoś brakuje, by móc ujrzeć w pełni kształtowania się twór cudowny astrologji i alchemji — Homunculusa.

I znowu Staniek na widok Majestatu odskoczył od kraty w murze, a za kratą coś zabłyszczało w noc bezksiężycową, jakby dwoje oczu palących.

I nieraz zaglądał król Jegomość do izdebki astrologa, a pacholę królewskie do kraty przyciskało się.

Gwiazdy nie sprzyjały, Homunculus nie tworzył się z alchemicznych ingrendjencji.

Król długo medytował wspólnie z Mistrzem, chyląc się nad pergaminami. Nawet raz mu przyszło na myśl, że pacholik zanudzi się na śmierć, tam na ganku.

Minęły miesiące. Jak zwykle, na nowiu zawiatał król Jegomość do izdebki Mistrza.

Astrolog u wstępu rzekł zmienionym głosem:

— Wejdz, najmiłościwszy panie, a i pacholik niech wnijdzie, ziąb za duży na dworzu!

Król patrzy: słoik rozbity, pergamin w kacie...

— Chodźcie jaśni panowie, oto jest już nowe życie:

Król Jegomość aż zadrzał z radości. Pacholik też zadrzał; i mocno.

Mistrz otworzył ukryte za kotarą drzwi i wprowadził przybyłych do komory, opatrzonej kratą, wychodzącą na podwórzec.

W komorze młoda niewiasta kołysała niemowlę.

Astrolog począł prawić:

— Gdym przybył do twego mroźnego królestwa najjaśniejszy panie, przywożem nie jeno wspomnienie lazuru nieba, błękitu morza, ale i wspomnienie grzechu i tę oto dziewczkę. Chcąc grzechowi zamknąć drogę, za kratą umieściłem i od świata odciąłem córę swą.

A w noc wiosenną przybyłeś w me niskie progi ty, najjaśniejszy, no i twój pacholik. No i masz, najdostojniejszy panie, masz oto „homunculus“.

Król rzucił okiem i na ciężką kratę i na niemowlę, które miało cienką, gorącą cerę południa i jasne szczere oczy, jak te fale wiślane.

— Hm... mruknął pan miłościwy.

— Młodość przycisnęła ich do krat, a miłość przecisnęła się i przez kraty, zakończył astrolog. *pi.*

CHJENA-PIAST.

Witos odrzucił ofiarowaną mu koronę i tytuł Piast VIII., zadowolając się kombinacją Piast-Ósemka.

Za to inni członkowie Piasta otrzymali przydomki królewskie:

I tak poseł *Kiernik*, przydomek — *Laskonogi*; Senator *Wysłouch* — *Bolesław Wstydlawy*, a *Bojko* — *Mieszko Stary*.

Poseł *Bryl* dla swych cnót został *Mniczem* czyli *Odnowicielem*, (gwoli zasług koło odbudowy kraju).

Dąbskiemu proponuje Witos przydomek „*Krzywousty*“, on sam *in memoriam* wyprawy kijowskiej, wolałby zwać się „*Chrobry*“.

Przydomek *Wielki* i *Król Chłoptków* rezerwuje sobie oczywiście marszałek *Rataj*. Do przydomka „*Gnuśny*“ kandyduje cały klub... *Robinfather.*

Wyjątek ze sprawozdania misji francuskiej.

W Polsce gabinety i ministrowie zmieniają się jak w kalejdoskopie. Wyjątek stanowi tylko niejaki pan Chodźko, minister zdrowia publicznego, który jako specjalista chorób umysłowych, oddaje swemu społeczeństwu nieocenione usługi i posiada pełne zaufanie całego narodu.





- Dam panu za ten obraz 10 akcji Elektrosanu.
- Czy to dobre akcje?
- Doskonale! San już jest a elektrykę się robi.

Dzieje milionówki.

Parę lat temu zebrałem ostatni grosz i kupiłem sobie milionówkę. Wracając z nią do domu trzymałem się po drodze za kieszeń, aby nie zgubić mego skarbu. A dopiero ten kłopot w samym domu, gdzie schować tak drogocenny papier, aby mi go nie skradziono. Zaszywałem go do siennika, wciskałem za tapety, kładłem pod oderwaną deskę od podłogi, a gdy kucharka pani Rabska naprawdę wygrała pierwszy milion, wtedy uszyłem drelchowy woreczek i mój los nosiłem w nim na piersiach niby szkaplerz jaki lub pukiel włosów od ubóstwianej dziewczyny. W sobotę nie mogłem się doczekać gazety z wynikiem losowania, a najmilszym zajęciem moim było, rachować co wszystko pokupię na wypadek wygranej, lub oglądać wille i pałace,

któreby odpowiadały moim wymaganiom i upodobaniom.

W rok później pogarbioną od potu milionówkę schowałem do kalendarza, aby ją wyprasować, często zapomniałem o sobotnich ciągnięciach, a gdy tylko gospodarz o czynsz mnie molestował, myślałem sobie: gdyby tak wygrać, to na rok cały zatkałbym gębę chuliganowi.

Jeszcze w rok potem mała córeczka od stróża przyniosła mi na imieniny bukietek fiołków, w zamian za co ofiarowałem jej moją milionówkę z życzeniem, aby na nią wygrała i dobrze za męża wyszła. Ale tego samego dnia jej matka odniosła mi milionówkę z prośbą, abym zamiast niej dał jej córce moje stare pantofle, które jej brat, terminator szewski, na meszty przerobi. Naturalnie, że stało się według jej woli.

Minął znowu rok, gdy otrzymuję pocztą list tej treści:

„Wielmoszny Panie! W ty gazety makulatury, co ja w tamten tygodnia u pana kupiał, była milionówkowe obligacje z orłem i z Kościuszkim. Czy pan to naumiesznie dał do makulatury, czy też chce Pan odebrać, bo ja ji tymczasem schował do szuflady na wypadek, gdyby to z Pański strony było pomilenie. Z uszanowaniem, Dawid Afterloch”.

Odpisałem mu na to:

„Szanowny Panie Afterloch! Naturalnie, że tylko przez nieuwagę milionówka dostała się do makulatury. Proszę ją przy sposobności wrzucić do skrzynki na moich drzwiach albo zostawić u dozorczy”.

„Wielmoszny Panie! — pisze znów Afterloch. — Oddam milionówki, ale proszę oddać znowu mnie porto za tamten list i za ten list i za papier z kopertem razem 1400 M.”

Na tem urwała się nasza korespondencja, a o mojej milionówce słuch i pamięć zaginęły.

Rozmowy wiosenne.

5 lat:

— Mamusiu, a będą poziomki? a będzie kwaśne mlecko? a ciasteczka z kłemem?

15 lat:

— Mówię ci Józek, łupnę im goła, że bramka trzaśnie, a szósta klasa pęknie z zazdrości!

25 lat:

— Kogo spotkam? Stefę, Manię, Irenę, Jankę ...oh nie mogę...

35 lat:

— Czuję, że będę mógł! pi.

W parku.

— Wróćmy się, nie chcę spotkać tego pana w orzechowym garniturze, zbyt natarczywy i gwałtowny...

— Cóż za Westalka z ciebie?

— Wiesz przecież, ile dzisiaj jedwabne rzeczy kosztują?

Między podlotkami.

— Nad czym tak medytujesz, Irenko?

— Jak to mogło być?

— Co?

— Patrz, pan Dziunio ma zazielenione plecy, a jego towarzyszka zupełnie nic...

Pani Zosia przeszła metamorfozę wiosenną.

W zimie *palila się do opali*, a teraz *opala się*, aby inni *palili się*...

— Kaziu, jeżeli nie chcesz, aby nas ludzie *wzięli na języki*, nie bierz mię na ręce! Robinfather.



Dodatek „SZCZUTKA“

Cena ogłoszeń wynosi 1,200.000 Mp. za całą stronę. — Mniejsze ogłoszenia w stosunku do pomiaru strony.

Rys. K. Kostynowicz.



— Patrz! tam w łóży siedzi pan Władek!
 — Oh, on dla mnie jest — powietrze!
 — Czy tak się — wszędzie wciska?

Z życia pp. Ketenhendlerów.

Noldek Ketenhendler wiezie się z Fredkiem Goldbaum przez Aleje.
 Auto sunie wytwornie, powoli.
 Paupry jakieś i zapowietrzane inteligenty wołają:

— Złodzieje! Paskarze!

Goldbaum:

— To jest skandal, to jest nie do wytrzymania!

Na to Noldek:

— Ty głupi! Ty by wołał, żeby te gojskie dziady jechały z autem, a ty żebyś wykrzykiwał: złodzieje?

*

W czasie ostatniego deszczu odznaczeń p. Ketenhendler dostał też order. A pan Goldbaum tylko zezwolenie na noszenie nazwiska „Goldowski“.

Goldbaum śmieje się i mówi do przyjaciela.

— To heca będzie! Ja się będę wstydził z panem jechać w tramwaju.

Do mnie każdy: panie Goldowski, panie Goldowski, a do pana co? Serwus stary Ketenhendler!

— Ouwa, a jak pan, panie Goldowski, da swój portret do „Świata“ to co każdy powie? Jakiś zwykły żyd! A jak mój portret dadzą, to każdy pozna: aha, to jest kawaler od Polonia Restauracja! Robinfather.

Pod pomnikiem Poniatowskiego.

— Jakże ci się podoba pomnik, Zosiu?

— Bardzoby mi się podobał mamusi, ale dlaczego koń, na którym siedzi Poniatowski, nie ma listka figowego?

Woreczki papierowe,
 Sygnaturki apteczne, Kapsółki
 Druki kupieckie

wykonuje

MAŁOPOLSKA WYTWÓRNIA
 torebek i wyrobów papierowych

Dawniej Z. A. GIESZKOWSKI
 Lwów, Zyblikiewicza 2. — Telef. 690.

Żądajcie pocztówką, nasz najnowszy **cennik wszelkiego rodzaju manufaktury** Ekspedycji przesyłek pocztowych „**Nadzieja**“ — w Łodzi ul. Kilińskiego 40.

który natychmiast będzie wysłany **zupełnie bezpłatnie** i przyniesie Szan. P. dużo korzyści.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

„EROTYKI“

Nakładem Spółki Nakładowej „Odrodzenie“ — Wszędzie do nabycia.



W gąszczu bzów.

(Obrazek komedjo-liryczny)

Księżyc. Aleja. Labirynt drózek. Gdzie niegdzie pary. Nieodczowna ławka, tonąca w bzach. Konieczny śpiew słowika. Dekoracje tka z nitek poetycznego zmroku noc i księżyc. Młody człowiek będzie namawiał do grzechu Ją pół-pannę, pół-mężatkę. Właściwie cnota nie jest draperją, a panna symbolem cnoty. Autor pozostawia na uboczu problematyczną dziewczyność, rozmyślnie — ponieważ wie doskonale, że założenie nóżki na nóżkę (odruch, samoobrona wobec przecucia grzechu) — odsłania tylko pończoszkę do kolanka. Tkaniny mniej przejrzyste muszą milczeć — tak nakazuje księżyc bzy i noc, którym nadaje się prawo wygłaszania swoich uwag. Kurtyna!

On. Jak ślicznie! Noc — bajka, marzenie...

Ona. Poetyczność wzruszeń?

On. Odczucie kobiecości w naturze.

Ona (z ironją) Pan jest nadzwyczajnie wnikliwym...

On. A Pani bardzo domyślna.

Ona. To tylko nastrój, Pani.

On. Księżyc, bzy...

Ona. I co jeszcze?

On. Nie powiem o Pani, ponieważ w programie jest tylko marzenie.

(Noc wchodzi z głębi parku. Staje koło ławki)

Noc. Zachwycający młody człowiek! Księżycu — słyszałeś co powiedział... W programie jest tylko marzenie.

(Księżyc wychodzi z gęstwiny bzów. Witają się)

Księżyc. Podpatrzmy dyskretnie to nadprogramowe szczygłe paplanie młodego człowieka. Wczoraj widziałem go w innej pozie...

Noc. Kiedy, gdzie — powiedz!

Księżyc. Powiem — jak tylko znajomy ruch powtórzy. Nie przeszkadzajmy. Pst! cicho...

(Ukrywają się za drzewa.)

Ona. Przerywam pauzę milczenia.

On. Przeszkadzam Pani?

Ona. (z uśmiechem) Pan... Nie.

On. A kto?

Ona (wybucha śmiechem). Noc, bzy, księżyc...

On. Jak się Pani cudnie śmieje!

Ona. Nie powtórzę, bo stał by się Pan nerwowym.

On. A jak się przytulę... (szybko otacza kibić ramieniem). Będę małym chłopcem. Takim cichym, cichutkim... Pani taka ładna! Łobuz kochany!

Ona (śmiech), Ha, ha, ha!...

On. Jeszcze, jeszcze raz! (całuje w usta).

Ona (wrywa się). Do-do-syć... Łakomczuk obrzydliwy!

On. Ha, ha, ha!

Ona. A Pan czemu kaleczy mój dzwonny śmiech...

On. Dla kontrastu.

Ona. Faun nienasycony (z przymieleniem kapryśnem). Jak całuję, to zaraz usta puchną... Fel! (klaps w rękę).

On. Powtórzę. Koniecznie! (całuje) Małe, cudne, maleńkie usteczka.

(Chwilka ciszy. Przytuleni do siebie. Śpiew słowika. Szepty, uściski, pocałunki. W przerwach dzwoni śmiechu kobiety. Noc i księżyc wychodzą z ukrycia. Księżyc świeci ze złości. Noc ma wyraz grzecznej obojętności.)

Księżyc. A to małpa! Wczoraj ten sam ruch... Siedział na innej ławce. Udawał chiromantę i przy moim świetle wróżył pannie, zdaje się, Lili, o szybkim zamążpójściu. A później łap za szyję... Usta spoczęły na ustach. I nie wiem co dalej, boś ty nocy nadciągnęła z chmurami. Wiem tylko, że biała suknia zupełnie zasłoniła mężczyznę.

Noc. Ja zawsze w takich wypadkach staram się ułatwić radykalne posunięcia płci brzydkiej. Roztawiam czaty z chmur i milczę dyskretnie. A Ty, niegodziwa stara, łysa pała, chciałbyś zaraz, aby twoje światło olśniło ręce niespokojnego mężczyzny. Tu działać na zwłokę nie można. Albo są ręce niespokojne i nóżki bezwładne, albo jest kolacja w gabinecie...

Księżyc. Ja jestem moralność, rozumiesz! To przedniej marki łotr! Dziś ta, jutro inna...

Noc. A ja gwizdę! Powiem ci jako

dodatek do twojej czujnej moralności, że tej Pani ułatwiłam wczoraj w innym miejscu sposobność grzeszenia. A dziś tutaj ułatwię...

Księżyc. Nie pozwolę! (opanowywa złość) Czy aby się mylisz. Tak bacznie obserwowałam. A to świ...!

Noc. Szacunek dla kobiety, bałwanie!

Bzy. A my się kochamy... Płatek do płatka, przecik z przecikiem — wesoło nam, radośnie! Panie Księżyc, niech pan idzie na spacer — prosimy... Niech się ludzie zwodzą, uwodzą, całują...

Księżyc. W najdrastyczniejszej chwili trysnę oślepiającym światłem.

Bzy (chórem). O-o-o! Niech pan się zakocha w naszej ładnej nocy — prosimy! Albo na spacer, panie Księżyc — na spacer!

Księżyc. Cicho dzieciaki.

Noc (w stronę bżów). To niesłychane, moje panienki biało-liljowe. Grzeszyć ze starym idjotą, co jest źle wychowanym i ma długi język, za nic w świecie!

Bzy. Prosimy. Niech go pani pocałuje w łysiuteńką pałę. On zaraz pójdzie na spacer...

Noc (całuje). Całuję cię piękna wiosna-sen... A teraz marsz stąd!

Księżyc (odchodzi mówiąc do siebie) Chodź mój, rodzaju nijaki, tulać się po parku...

(Śpiewa słowik. Pachną bzy. Młody człowiek całuje w pół omdlałą panią. Pani korzysta z nieobecności księżycy i rzeczywiście omdlewa. Młody człowiek udaje, że brylantową szpilkę zgubił w miejscu, gdzie nóżki kobiece nielitościwie skopały ziemię. Szuka, długo szuka... Bieleją bzy i koronki... Noc płaszczem gwiaździstym osłania ławkę...)

Z. Lwicz.

Z teatru lwowskiego.

Dla poprawy zachwianych finansów, wskutek zamierzonej redukcji szynków, postanowił Magistrat znieść 50% niżkę teatralną. Aby jednak czarnoroboczej inteligencji nie zamknąć, raz na zawsze, wrót do przybytku Melpomeny, postanowiła Komisja Teatralna urządzać raz w miesiącu przedstawienia zbiorowe, obejmujące urywki i fragmenty oper, dramatów i komedji bieżącego repertuaru.

Oto próbny szkic takiego widowiska
Za dawnych dobrych czasów odwiedził

Lohengrin

ze swoim łabędziem

Straszny dwór

w którym przebywała

Bajadera

z powodu bryndzy mieszkaniowej jako

Sublokatorka.

Zapukawszy dyskretnie o północy do jej sypialni, zaproponował jej

Czysty interes,

gdy rozpoczęła się już w najlepsze

Zabawa w miłość
wszedł niedyskretny

Kontrolor wagonów sypalnych
z pytaniem:

Czy jest co do oclenia?

Za chwilę wpadł rozjuszony

Otello

któremu podszepnął

Dr. Stieglitz

— biorąc go na kawał — że w Straszonym Dworze ukrywa się jego żona
Japonka

i zaryczał niesamowitym głosem: „Ja wam tu zaraz urządzę krwawy

Bal w operze”.

Bajadera zakrywając wstydliwie

To, co najważniejsze,

zapytała dyskretnie Lohengrina:

„Gdzie moja

Halka?”

Otello spostrzegłszy niefortunna pomyłkę, wycofał się jak

Ten, którego biją po twarzy.

Jego przyjaciel zaś

R. H. Inżynier,

spotkawszy go poradził mu, dla uspokojenia nerwów, kupić w aptece Pinelesa

Roztwór Prof. Pytla.

Przebywająca tam właśnie

Dama w gronostajach

zaproponowała mu natomiast — wedle recepty Zapolskiej — to

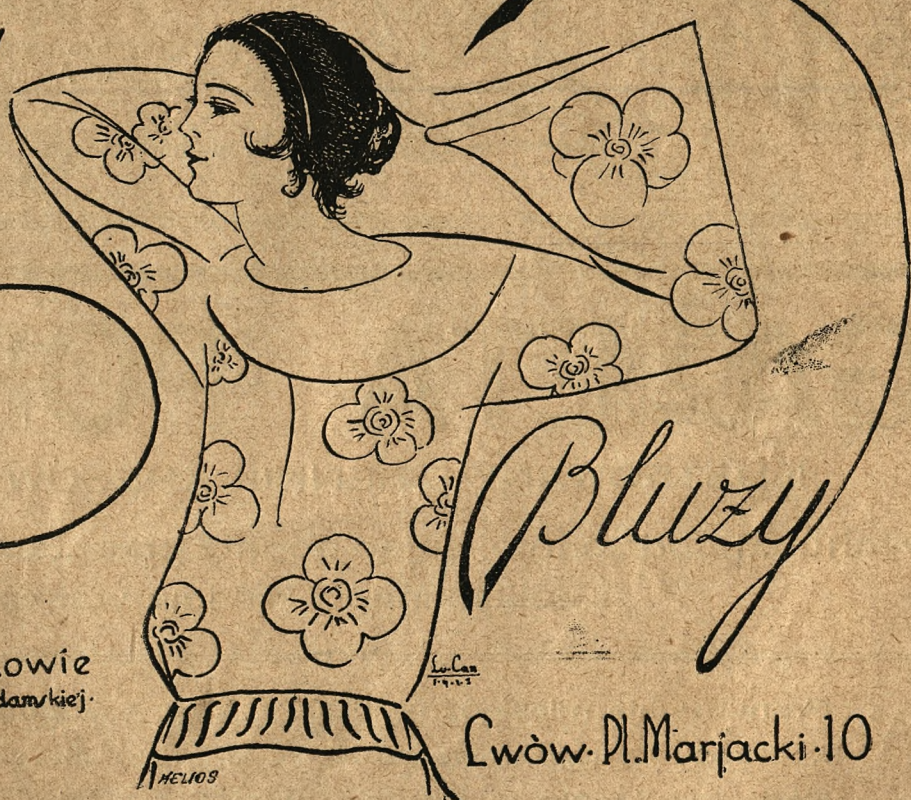
O czym się nie mówi,

jako skuteczniejsze.

R. G.

Bluzy

St. Wrońskiego Synowie
Pracownia magazyn, futer i konfekcji damskiej



Lwów. Pl. Marjacki. 10

„GAZETA BANKOWA”

Największe w kraju czasopismo ekonomiczne

WYCHODZI DWA RAZY KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKCJA: Lwów, ul. Akademicka 4. — Telefon Nr. 581. — ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Podwale 3.

PRZEDPŁATA: Kwartalnie 18.000 Mkp.

Prenumerata zagraniczna o 100% drożej.



„SPORT”

Urzędowy organ Polskich Związków: Lekko-atletycznego, Pływackiego, Szermierzy, Polskich Towarz. Atletycznych, Łyżwiarского, Lwowskiego Zw. Okr. Piłki Nożnej, Tow. Zabaw Ruchowych we Lwowie i Centrali Akademickich Związków Sportowych w Warszawie.

Wydawca: **Spółka Akc. Wyd.** Redaktor nacz. **prof. R. Wacek**

Cena numeru 2.000 Mp., Prenumerata kwart. 24.000 Mp.
miesięczna 8.000 Mp.

Adres Wydawnictwa: Lwów, ul. Zimorowicza 5. Tel. 581.

Rocznik „Sportu”

zawierający 626 stron druku, 440 ilustracji, 31 karykatur,
do nabycia w Administracji „SPORTU” w cenie 25.000
Mp., z przesyłką pocztową 27.000 Mp.

Prenumerujcie „SPORT” — jedyny sportowy tygodnik na
Kresach Wschodnich.

GAZETA PORANNA

ILUSTROWANY DZIENNIK KRESÓW WSCHODNICH

wychodzi codziennie, dając bogaty przegląd życia intelektualnego
i politycznego kresów wschodnich.

Prenumerata miesięczna 16.000— Mkp. — Z dostawą na miejscu lub
z przesyłką pocztową 18.000— Mkp. — Za granicą 20.000— Mkp.

Redakcja: Lwów, ul. Chorążczyzny 31. — Administracja ul. Sokoła 4.

Telefon Redakcji 15.

Telefon Administracji 291.

FALA POWROTNA.



Jeszcze powraca i w nozdrzach gra
Wiotki aromat twojej rękawiczki,
Jeszcze na rzęsach oddech twój trwa
I od twoich pieszczot drżą mi policzki.

I zdaje mi się, że znów cię mam,
Bo tak dokoła pachną rezedy...
Wieczór i ogród jest taki sam
I wszystko takie, jak było wtedy...

To samo niebo, te same mgły, —
Brak tylko ciebie, lecz sercu śni się,
Że nie tu niema — i tylko ty
Pachniesz zaklęta w bladym irysie.

J. Zahradnik.



DJABELSKA HISTORIA lub UMARŁ NA SYNEKURĘ.

Młody i przystojny djabeł Pipi bałamucił od dłuższego czasu wszystkie mieszczanki piekła. Bez większego zresztą wysiłku uwiódł w ten sposób nie tylko wszystkie piekielne chórzystki i telefonistki ale i niezliczoną liczbę powszechnie szanowanych mężatek i poldziwie. — Z tego powodu panowało w piekle silne wzburzenie i rozgoryczenie. Spora liczba mężów statecznych i innych radców miejskich, nosiła ze smutkiem na dumnych czołach sążniste rogi jelenie, ku serdecznej ucieście dziadowskiej gawiedzi urzędniczej, tulającej się jeszcze po piekle, mimo pobierania każdego miesiąca od rządu piekielnego, bezprocentowego procentu od dodatku dodatkowego dodatku drożyznianego.

Złe było w piekle i smutno. Jedynie tylko donżuan djabelski Pipi chodził zadowolony z wesoło i czupurnie zakręconym ogonkiem, kokietując na prawo i lewo zalotne djablice, które na jego widok mdlały z nadmiaru romantycznych rzeczeń. Lucyfer jednak wstrzymywał się od wszelkiej interwencji, sam bowiem chociaż stary, był hultajem nielada, jak zresztą każdy Lucyfer. Razu pewnego mimo to nastąpiła katastrofa, okazało się bowiem, że Pipi uciekł aż do dziewiątego podziemia piekielnego z rodzoną kochanką samego Lucyfera panną (za ścisłości wyrazu nie ręczę) Mimi, słynącą z piękności i zamiłowania do brylantów. Lucyfer rozsierdził się nie na żarty. Patelnie, służące do przysmarzania grzeszników, kotły z wrzącą smołą, rozpalone do białości blachy i inne tym podobne a dreszcz grozy wzbudzające przyrządy piekielne latały w powietrzu jak jaskółki dyplomatyczne, wypuszczone z klatki Ligi narodów. Djabły, djablice i djablatka przewracały ze strachu koziołki, puszczając dym i swąd wszystkich otworami ciała. Jednym słowem w państwie piekielnym panował istny sądny dzień.

Ponieważ równocześnie z ucieczką dzentelmena Pipi, zniknęła ze skarbu Lucyfera niemal cała gotówka, policja piekielna zmobilizowała natychmiast wszystkie swoje siły, celem odnalezienia zbrodniarza. Dzięki niezwykłej energii i gorliwości piekielnej policji już po kilku miesiącach natrafiono na ślad złooczyńcy, pies jednak policyjny będąc na tropie, w decydującej chwili ujrzał niestety zwykłą ponętą... suczkę i urwawszy się ze smyczy zamiast za Pipim pobiegł jak szalony za suczką, co zresztą jest zupełnie zrozumiałe gdy się weźmie pod uwagę panujący w piekle nastrój „amoroso”. Minister spraw wewnętrznych, naczelny komendant policji i kilku wyższych urzędników otrzymało skutkiem tego nieprzewidzianego incydentu bezwzględnie dymisję, a dla braku innych źródeł dochodu zgłosili swoje kandydatury na posłów i zostali wybrani dzięki poparciu mniejszości narodowych, które w państwie piekielnym miały głos decydujący.

W końcu jednak policja wzięła się do roboty i wysłedziła złooczyńcę w sposób niezmiernie zręczny, to jest kiedy ów sam zgłosił się w urządzenie, mając już dość romansu z panną Mimi, która coraz częściej powodowała gwałtowne i przykre flukcje u swego kochanka, nie umiającego cenić jej zamiłowania do brylantów. Pipi, jak przystało na praworządne władztwo piekielne,

został oddany pod sąd przysięgłych. W czasie rozprawy Pipi oraz jego adwokat zalewali się łzami, co widząc sędziowie przysięgli jednogłośnie uwolnili sympatycznego djabelka, nie tylko nie znajdując w nim winy lecz przeciwnie stwierdzając, że Pipi został w straszny sposób pokrzywdzony.

Pipi był uradowany, natomiast Lucyfer wprost szalał ze złości, powątpiewając głośno w prawość pochodzenia sędziów przysięgłych i nazywając ich koltunami. Oburzony chwycił wsiadającego do tramwaju Pipiego za kark, machnął nim jak kometa ogonem i rzucił go za karę na ziemię.

Leciał biedny Pipi i leciał na złamanie karku coraz niżej i niżej niby jaka marka, aż wreszcie uścił z jękiem na ziemskim padółku. Skoro tylko oprzytomniał, począł się rozglądać celem zorientowania się w sytuacji. Ujrawszy około siebie ziemię otoczoną psami i paskami domyślił się w jednej chwili, że znajduje się w dolinie Wisły.

Szedł sobie, szedł, wbrew rozporządzeniu Ministerstwa spraw wewnętrznych na lewo, czem oburzony stróż publicznego bezpieczeństwa okuwszy djabelka w kajdanki zaprowadził go do urzędu policyjnego. Pipi, chociaż był bardzo odważny począł się trząść jak galareta, poznawszy bowiem surowość policji piekielnej, wyobrażał sobie jak bardzo ostrą musi być policja ziemska.

Pan komisarz pogłaskawszy trzykrotnie djabelka po twarzy nie zbyt delikatnie na znak swojej władzy oświadczył, że ściągnie z niego protokół. Ponieważ Pipi nie miał na sobie ziemskiego ubrania a swoim strojem zbliżał się całkowicie do kobiety z towarzysztwa w toalecie balowej, ponieważ nadto nie rozumiał wyrazu ziemski go „protokół”, był oświadczeniem pana komisarza mocno zaaferowany, zachodząc w głowę co pan komisarz mu ściągnie, przyczem na myśl przychodzi mu ciągle skóra. Pipi mając od urodzenia nieprzezwyciężony wstręt do specjalistów skórnych, zaprotestował uroczyście przeciwko nieobywatelskości p. komisarza, odznaczając się zaś wrodzonym sprytem wpadł na znakomity pomysł. Będąc jeszcze w piekle czytywał nieraz dzienniki ziemskie, które przynosili ze sobą potępieńcy i z treści tychże gazet utkwili w jego pamięci ścisłe magiczne słowa „zagranica”, „misja” i t. p. Pipi chrząknął znacząco, położył lewą rękę na sercu a prawą ujął ogon i przybrał dumny i pełną godności postawę, rzekł pewny siebie:

— Zabraniam panu w ten sposób ze mną postępować. Jestem członkiem dwudziestopięć-tysięcznej—trzydziesto—czwartej misji zagranicznej, wysłanej przez wysoką republikę angielsko—amerykańsko—murzyńską: Na—Serma—ter—handele, celem zbadań czy obywatele tutejszego państwa kichają w sposób przepisany przez Ligę narodów, a o postępowaniu pana ze mną nie omieszkam zawiadomić swego Rządu.

P. komisarz po tych słowach upadł płacikiem na ziemię przepaszając gorąco za wyrażoną zniewagę.

— Racz wybaczyć wysoka ekscelencjo, lecz strój pański przyczynił się do tej omyłki.

— Jestem w stroju narodowym mojej ojczyzny.

— A ja myślałem, że ekscelencja jest naszym faszystą! (uwaga zecera: Wiadomo, że djabły w strojach rodzimych są koloru czarnego). Od trzech tygodni w myśl otrzymanego polecenia aresztuję wszystkich czarno ubranych obywateli. Areszta policyjne są przepełnione karawaniami i kominarzami a obecnie wylapuję wszystkie czarne psy. W ten sposób wszystkie rewolucyjne zapędy zostaną stłumione w zarodku.

Pipi westchnął głęboko i uścił gorącą rękę p. komisarza.

— Wobec pańskiego oświadczenia wybaczam mu, a na znak mojej łaski odniosę się telegraficznie do mego Rządu o przesłanie

tu jeszcze kilku misjonarzy, ludzi w przejażdżkach po waszym kraju wypróbowanych, którzy dzielnie panu pomogą w tłumieniu rewolucji.

Pan komisarz podziękował djabelkowi serdecznie, Pipi zaś skinąwszy głową wyszedł dumnym krokiem z policji.

Opuściwszy gmach policyjny podjął Pipi już bez przeszkód wędrówkę celem znalezienia mieszkania. Wstępował od domu do domu, od kamienicy do kamienicy, daremnie były jednak jego trudy, wolnego mieszkania nie było nigdzie. Idąc tak stroskany zabłądził niechcąc na ulicę Wiejską. Ujrawszy przed sobą duży budynek z napisem „Sejm” bez wahania wszedł do wnętrza.

W sejmie, jak zwykle podczas sesji na której poruszano sprawy tylko ogólnie państwowe posłowie spali twardo. Jeden ze suwerenów chrapał uśmiechnięty z kuflem w lewicy, śniąc prawdopodobnie o przyszłych koncesjach, pod wpływem jednak wzroku djabła uczył silne wiatry w centrum skutkiem czego poskrobał się prawicą w partię ściśle ludową swego ciała i popuścił w pasie narodowe zjednoczenie zwane powszechnie chrześcijańskim mimo, że kryło w sobie pewne fragmenty ściśle sjonistyczne.

Pipi przerażony ruchami suwerena dał szybko nura. Po kilku dniach włóczęgi mieszkaniowej udało mu się wreszcie — po zapłaceniu trzydziestu milionów odstępnego, które ukradł pewnemu biednemu właścicielowi podczas erotycznych ewolucji Lucy Dorain w kinie „Orgia” — znaleźć mieszkanie w jednym z rodzimych chlewków. Pipi otrzymał do dyspozycji niestety tylko pół chlewka, w drugiej połowie bowiem rezydował czeski ambasador. Zadowolony, że ma wreszcie dach nad głową, udał się do miasta celem posilenia grzesznej djabelskiej powłoki. Jak każdy szanujący się obywatel chciał zacząć posiłek od kieliszka wzmożonej — niestety jednak dnia tego była właśnie niedziela i kelner wódki Pipiowi odmówił. Posmutniał biedny Pipi, bo wyemigrowawszy z piekła wbrew własnej woli do ziemskiej krainy wódka i markami płynące, uczył natychmiast ze swoim przybyciem gwałtowny pociąg do alkoholu, że nie był jednak w ciemie bity zadał momentalnie w odpowiedzi kelnerowi inteligentne pytanie:

— Powiada pan, że dzisiaj wódki podawać nie wolno, niech mi pan wobec tego wytłumaczy czemu na dwa tysiące osób, które spotkałem na ulicy 1980 było pijanych.

Kelner uśmiechnął się z politowaniem:

— Pan chyba jest obcokrajowcem i nie wie o tem, że u nas ludzie w święta upijają się wprawdzie, lecz nie wódką... tylko czarną kawą.

— Więc proszę filiżankę czarnej kawy!

— Do usług pana p. bdzieja — wyrzucił jednym tchem kelner i machnąwszy zręcznie serwetą znikł za bufetem. Po małej chwili postawił przed Pipim sporą filiżankę. Pipi poraz trzydziesty raz spórą filiżankę, w filiżance bowiem połyskiwał płyn srebrno-złoty. Pipi nie namyślając się długo wychylił zawartość filiżanki i stwierdził z radością, że kawa ziemka jest doskonałą wódką. Wypiwszy jeszcze kilka takich filiżanek i będąc już w dobrym humorze spytał kelnera o nazwę kawy.

— To jest proszę pana dobrodzieja uproszczony przepis policyjny.

Djabeł rozesmiał się serdecznie a po zjedzeniu z apetytem kilku mięsnych potraw z końskiej wołowiny, wyszedł z trutkodajni.

Na drugi dzień rano zaczął Pipi czynić starania o posadę, był bowiem zupełnie bez środków do życia.

Uzyskawszy bezwzględnie wstęp do jednego z ministrów, za protekcją pewnej pani, przedstawił się grzecznie:

— Jestem Pipi, męczennik płci pięknej na urlopie. Przyszedłem prosić p. ministra o posadę — wyrecytował jednym tchem dja-

belek, stanąwszy przed obliczem pana ministra.

— A jakie ma pan kwalifikacje?

— Ukończyłem w zupełności 4-ro klasową szkołę ludową, do której uczęszczałem lat jedenaście i oczywiście podpisuję się już wcale nieźle, zwłaszcza na wekslach. Ponadto posiadam trzechletni kurs „shimmy“, fox-trotta, wyższą szkołę pływania i jazdy na rowerze.

— Bardzo dobrze... bardzo dobrze... właśnie potrzebujemy takiego kandydata. A do jakiego należysz pan stronnictwa?

— Nie jestem jeszcze zdeklarowany — odpowiedział zręcznie djabelek — ale mogę być socjalistą, ludowcem, endekiem, komunistą, jednym słowem wszystkim co potrzeba.

— Znakomity kandydat — mruknął do siebie zadowolony p. minister. — Obecnie widzi pan jest zasadniczo zapotrzebowanie na lewicowość...

— Od urodzenia jestem mańkutem...

— Doskonale. Otóż potrzeba nam prezydenta gabinetu, bo jak panu wiadomo mamy znowu przesilenie.

— Ach to dla mnie jak stworzone, trzy czwarte swego życia spędziłem w gabinetach. Nikt tak dobrze jak ja nie potrafi ułożyć „Menu“, najwybredniejsze kokoty nie miały dla mnie słów uznania.

— Wymarzony premier... cudowny premier... — powtarzał półgłosem p. minister. — Porozumiem się jeszcze z kompetentnymi czynnikami i jutro dam panu odpowiedź.

I został Pipi premierem.

Jak każdy przyzwolity premier deklamował Pipi w Sejmie przez 17 godzin, czyli mówiąc fachowo wygłaszał swoje „ekspose“, w którym zgodnie z przyjętym zwyczajem obiecał pokonać drożynę, podnieść wartość spadku waluty, sprawić reformy agrarne rolnikom, uregulować pensje urzędnicze równocześnie z żołądkami, nadać wszystkim posłom koncesje na banki, na wywóz świń, jaj i drzewa, ponadto przyrzekł partii P.P.S. trzygodzinny dzień pracy i skórę z prawicy, prawicy sześć tek w najbliższym gabinecie po najbliższym przesileniu, pięć całusów od „Piasta“ i wszystkie pensy z całego Państwa. Mniejszościom narodowym osobnego prezydenta wyznania mojżeszowego, drugi gabinet z rabinem cudotwórcą z Sadogóry na czele, wszelkie uniwersytety i autonomię terytorjalną z zupełnym wyodrębnieniem województw obecnie do Państwa należących lub też w przyszłości należących mogących i t. p.

Oczywiście „ekspose“ zostało przyjęte przez całą Izbę poselską z entuzjazmem wprost niebywałym. Sława znakomitego premiera rozniosła się szeroko po świecie. Niemal codziennie przychodziło po kilka telegramów gratulacyjnych od zwierzchników państw zagranicznych. Czesi ze strachu rzekli się od razu całej Jaworzyny, Gdańsk złagodził jak baranek, bolszewicy przestali wieszać a Niemcy zapłacili Francji bezwzględnie całe odszkodowanie wraz z procentami. Jednym słowem zapanował raj na ziemi a Pipi stałby się był bez wątpienia tym wyjątkowym premierem, który byłby sprawował rządy dłużej jak trzy tygodnie. Niestety jednak biednego djabelka zgubiło jego własne szczęście, sława bowiem o jego fenomenalnych zdolnościach nie ograniczyła się do ziemi ale przebiwszy skorupę ziemską dotarła do piekiel, skutkiem czego wszystkie dawniejsze kochanki djabelka podburzone przez Lucyferę, dyszące zemstą, zjechały tłumnie na miotłach do stolicy i zażądały od nieszczęsnego donżuana synekur dla swoich kochanek, których każda miała po kilku, grożąc w razie niespełnienia swoich żądań zdemaskowaniem djabelka. Pipi chcąc się utrzymać przy sterze rządów, powołał natychmiast do życia kilkadziesiąt nowych urzędów, te jednak nie wystarczyły ani w części do pokry-

cia zapotrzebowania na posady tem bardziej, że równocześnie panował szalony popyt na synekury ze strony najrozmaitszych kuzynów i kuzynek wszelkiego rodzaju dygnitarzy i suwerenów — do trzydziestego pokolenia wstecz i naprzód.

Pipi widząc, że absolutnie nie będzie mógł uczynić zadość żądaniom choćby utworzył tysiąc nowych urzędów, zginął z honorem odbierając sobie życie wystrzałem z rewolweru.

Pochowany został jak król, a na pomniku wyryto napis:

„Umarł na synekurę“.

Stras.

RYMY.

Kaziowi Grusowi
w serdecznej przyjaźni.

Bzów, kasztanów przekwitło niemało,
Maj czarowny do końca dobiega.
Życie głupie było i zostało,
Próżno szczęścia szukamy jak zbiega.

Coraz jaśniej na zielonym świecie,
Coraz głośniej wrony drą się w parku,
Coraz bliższą jest jesień po lecie,
Coraz droższy dolar na jarmarku.

Wszystkie ławki w ogrodach samotne
Wzięły parki kochliwe w arendę.
Im — rymami mojemu nie dotnę,
Jeno gadką smętną oprzędę.

Bo tak trzeba, bo tak być już musi.
Polska miła niech z tego urasta.
Więc niech każda niewiasta się „grusi“
W wieczór ciepły, gdzieś, w ogrodach
[miasta.

Po ulicach śliczne tualety,
Kolorowe, w paski i w kropeczki.
Uśmiechają się piękne kobiety,
Fryzowane, pachnące laleczki.

A co do mnie — chandra wciąż mnie
[wiązi,
Życie przecież przedziwnie jednakie.
Chciałbym czasem śpiewać na gałęzi,
Ale człowiek nie może być — ptakiem.

Gdy się nie gra w karty, czy na
[giełdzie,
Albo bodaj przynajmniej w teatrze —
Cóż zostaje? Przejechać się w „LD“ — zie
Gdzieś, gdzie twarze znajome są
[rzadsze.

Tylko hazard ma urok ryzyka,
A pozatem nudne, puste słowa!
Więc wcisnąwszy się gdzieś do kącika,
Hej, napijmy się wódki „Smyrnowa!“

W starym szyneczku sklepionym, pod
[Ptaszkiem,
Wasze gęby — druhowie, kochane,
Cyganerii brzmia zgiełkiem nieważkim
Gdy siadziecie tak sobie pod ścianę.

I mówimy, pijemy, mówimy
O kobietach, akcjach, lub o sztuce.
Z tego robią się później te rymy,
Gdy w świt zorzy sam do domu
[wróć.

Tenit.

W parku.

Pan Leonard patrząc na bosonogą
dziwczynekę.

— Jak śliczny taki trykocik natur.

— Ale prędko pęknie...
*

— Wróć się, Tadek, ta aleja zbyt
ciemna...

— Czyż tak boisz się ciemności?

— Onegdaj zaczepiałem tam natrętnie... własną żonę.

W. W.

— Kumie pośle — pyta o Witosę
— a po jakimuż wy gadali z tym
1. arszakiem Fochem?

— Po jakimuż-by? On do mnie
po francusku, ja do niego po polsku
i tak my se gadali o polityce i
radzili nad chłopskim dobrem.

— Widzita... psiocimać jedna... jak
Wicek sobie poredził... — dziwili się
Wierchosławiczanie.
*

Raz przyszła do Witosy deputacja
z żądaniem, aby chłopskim synom
wolno było piastować urzędy, choć-
by nie posiadali przepisanego wykształcenia.

— Bo i wy kumie — rzekł jeden
z członków deputacji — ostaliście pre-
mierem, chocia ta niemacie żadnego
luniwersytetu.

Witos uczuł się dotknięty tym wy-
pominkiem, ale kazał deputacji przyjsć
na drugi dzień.

A gdy się znów zjawili, powiedział
im:

— Mówiłem z Wojciechowskim, ja-
ko ma być, i postanowiliśmy tak, co
na prefesora, konowała, albo jeome-
tre musi być uniwersytet, ale ktoby
ta chciał ostać ministrem albo prezy-
dentem, temu do tego niepotrzeba ni-
jakiej edukacji.

Deputacja pożegnała Witosę bar-
dzo zadowolona.

Wyjaśnił.

— Czy zauważyłeś, że co drugi
dowcip „Szopki“ jest stary jak świat?

— Owszem, zauważyłem. Ale tak
być musi, przecież to jest pismo kon-
serwatywne.



OGRODNICTWO W BOLSZEWJI.



Kiedy Bolszewik wśród swojej sadyby
Podlewa trawy i wędnące krzaki,
To wyrastają jak po deszczu grzyby
Kwiatki — Prusaki.